

Viktor Orbán: Przemówienie podsumowujące rok

(18. Raport o stanie państwa)

Budapeszt, 28 lutego 2016

Szanowne Panie, Szanowni Panowie! Szanowny Panie Prezydencie! Szanowny Panie Prezydencie Pálu Schmitt z małżonką! Szanowny Panie Przewodniczący Zgromadzenia Narodowego!

Życzę pięknej niedzieli wszystkim zebrany tu, w Budapeszcie, a także przed ekranami, w kraju i poza jego granicami. Z książki pt. Mała węgierska pornografia – młodym podpowiadam, autorem jest Esterházy – dowiadujemy się, jakie winno być dobre polityczne przemówienie. Dobre wystąpienie polityczne, twierdzi w tej książce towarzysz Gerő¹ – młodym mówię, że chodzi o lata 50. - powinno traktować o programie, który nie kosztuje zbyt wiele, wzbudza wielkie zaskoczenie, a i ludowi sprawia radość. Na to Tibor Déry² odpowiada mu, aby na jednym słupie mostu nad Dunajem powiesił Mihály Farkasa³, a na drugim siebie samego. To nie będzie wiele kosztować, będzie wielkim zaskoczeniem, a ludowi sprawi radość.

Dziś, oczywiście, sprawy nie są już takie proste. Nie da się już przeciąć wężła gordyjskiego, jakim jest zadanie napisania dobrego przemówienia politycznego, jednym frapującym żartem. Dziś już nie wystarczy postawić nieśmiertelne pytanie, jak się pozbyć komunistów. Już choćby dlatego, że wprawdzie od czasów „przedziurawienia” państwowej partii komunistycznej upłynęło 26 lat, wciąż nie ma powszechnej zgody co do tego, czy uwolniliśmy się od komunistów. Więcej, nie wiemy tak naprawdę, czym miałyby być to uwolnienie się. I nie ma ostatecznego rozstrzygnięcia tezy filozofa Gáspára Miklósa Tamása, czy z mąki komunistów da się upiec demokratyczny chleb.

Mało tego, nie wiemy nawet, czy te pytania są w ogóle racjonalne, a jeśli tak, to czy mają jeszcze znaczenie? Albowiem, Szanowni Panie i Panowie, 2 600 000 młodych obywateli naszego kraju urodziło się po epoce systemu komunistycznego, a wliczając również tych, którzy w 1990 roku

1 Właściwie Ernő Singer, członek komunistycznych rządów, oficer NKWD, szef tajnej policji komunistycznej.

2 Pisarz, poeta, wyrzucony z komunistycznej partii w 1953.

3 Właściwie Hermann Löwy, minister obrony.

mieli najwyżej 15 lat, czyli byli jeszcze dziećmi, widzimy, że spośród żyjących dziś na Węgrzech 10 milionów obywateli 4,8 miliona nie posiada własnych wspomnień politycznych o komunizmie.

Pomyślmy też o tym, że miejsce męczącego nas kiedyś dylematu „czy uciekać za granicę?” zajął dylemat „czy podjąć pracę za granicą?”. Zamiast pytań o politykę przemysłową kraju żelaza i aluminium, pochłania nas kwestia informatycznej rewolucji. Zamiast trapić się postępami państwowej gospodarki planowej, zastanawiamy się, jak przezwyciężyć neoliberalną politykę gospodarczą.

Już nie to nas gnębi, jak tu się wyrwać z RWPG [Rada Wzajemnej Pomocy Gospodarczej], lecz jak obronić nasze narodowe interesy w Unii Europejskiej. Czas przeleciał. Wiele wody upłynęło w Dunaju. A my, posiwiali uczestnicy transformacji systemowej, ciągle stajemy wobec problemów do rozwiązania. Trudno się dziwić, że pojawiają się wciąż dociekania dotyczące zmiany warty i pokoleń.

Istnieje już nawet partia opozycyjna domagająca się od nas, którzy obaliliśmy stary system, byśmy ustąpili młodszemu pokoleniu. Déjà vu. Stare piękne, junackie czasy! Nasz słynny winiarz Ferenc Takler – chyba myśląc o sobie – powiedział, czy też zacytował: zanim przekażemy sztandar kolejnemu pokoleniu, potrzymajmy go jeszcze trochę.

Dziś, Szanowni Państwo, w pierwszym rządzie mam mówić o czasie. Dokonujemy oceny minionego roku, zastanawiamy się, co nas czeka w nadchodzących miesiącach, dlatego najpierw musimy znaleźć odpowiedź na pytanie, w jakim punkcie się dziś znajdujemy? W jakim stanie są dziś Węgry, w jakim położeniu Węgrzy, żyjący w Basenie Karpat?

Możemy cieszyć się wolnością i niepodległością w stopniu, jaki rzadko bywał nam dany w ciągu minionych stu lat. Nie ciąży nam tyrania czy okupacja, sami wybieramy własne rządy. Ustawa Zasadnicza gwarantuje równowagę naszych jednostkowych i wspólnotowych wolności i obowiązków, określa ich granice. Prawa ustanawiane są przez deputowanych, których naród wybrał w sposób wolny. Nieskrępowanie można korzystać z wolności poglądów i słowa, zaś

gromadzić się i stowarzyszać nie tylko można, ale jest to korzystne, a nawet pożyteczne.

Trudniejszym pytaniem jest, gdzie dziś znajdują się Węgry na historycznej osi czasu? My, którzy połowę swego życia przeżyliśmy w komunizmie, a połowę w wolnej Ojczyźnie – osobiście 26 lat przeżyłem tam, a 26 tu – skłonni jesteśmy ulegać pewnemu złudzeniu. Czasem łapiemy się na tym, że przeżywamy dni tak, jak byśmy jeszcze ciągle żyli w XX wieku lub w jakimś jego przedłużeniu, a przecież przekroczyliśmy już jedną siódmą XXI wieku. Jeśli XXI wiek wyobrazimy sobie jako tydzień, to jesteśmy przy wtorku. Przed nami jeszcze długi tydzień, ale on już na dobre się rozpoczął. Albo czy uświadamiamy sobie, że od pierwszych wolnych wyborów, od końca komunizmu i obcej okupacji, czyli od roku 1990 upłynęło już więcej czasu, niż wynosił okres pomiędzy dwoma wojnami światowymi? Czy uświadamiali sobie Państwo, że okres od zmiany ustroju już jest dłuższy od okresu rządów Horthyego, a jeszcze tylko 7 lat, i przekroczy długość rządów Kádára. Duża liczba przeżytych lat żąda, byśmy powiedzieli sobie coś o dzisiejszej sytuacji Węgier w wymiarze historycznym.

Jestem jednym z czterech deputowanych, którzy biorą udział w życiu publicznym Węgier od roku 1990, czyli ponad trzydzieści lat „wiosłuję na galerach” krajowej i międzynarodowej polityki. Daje to już pewien dystans i chyba uprawnia oraz wystarcza do tego, bym mówił o historycznych wymiarach.

Występuje tu jednak pewna okoliczność, z którą trzeba się zmierzyć. Gdy w polityce lub w życiu naszego narodu stawiamy sobie za cel zbudowanie społeczeństwa obywatelskiego, musimy się liczyć z tym, że taki cel nie jest czymś takim jak obiekt w terenie. Dlatego nie ma tu jakichś wymiernych odległości, trudno, wręcz niemożliwe jest określenie, jaką część drogi już pokonaliśmy.

Możemy stwierdzić, że jesteśmy w połowie trzeciej kadencji naszych rządów, ale nie możemy powiedzieć, jaką część okresu społeczeństwa obywatelskiego stanowi tych dziesięć lat. Nawet Kolumb, będąc na środku Oceanu Atlantyckiego, nie wiedział, że jest w połowie drogi. My też nie wiemy, i chyba nie warto zaprzętać sobie głowę tym, czy pokonaliśmy piątą część czy już połowę naszej drogi. Pamiętam, że podobnie było w połowie lat osiemdziesiątych, w ostatnich

latach ustroju komunistycznego. Nikt nie wiedział, jak długo potrwa agonía ustroju kádárovskiego, ile czasu zajmie nam dotarcie do świata wolności i niepodległości. Wiedzieliśmy tylko jedno: że teraz można. Teraz można, teraz ma sens odważna walka, teraz można działać – wszystko inne jest w rękach Pana historii.

Jak uczył Bismarck, kanclerz – twórca Niemiec: człowiek czeka, aż w kłębowisku wydarzeń usłyszysz odgłos kroków Boga, a wtedy musi skoczyć i złapać się skraju Jego szaty, to wszystko, co możemy zdziałać. Tak to widzę także dziś. Dziś można działać, można tworzyć, teraz bycie odważnym ma sens, warto wytrwale stawiać kroki, iść do przodu, ze świadomością celu i ufnością, pewnością siebie. Gdyż teraz powstaje, teraz można budować to, co uważamy za obywatelskie Węgry, ustrój obywatelski, epokę narodowo-chrześcijańską, państwo Węgrów.

Szanowne Panie, Szanowni Panowie!

Jeśli odważymy się spojrzeć wstecz na ostatnie 150 lat, aż do ugody [austriacko-węgierskiej z 1867r.], zobaczymy, iż potrzeba nam było prawie 50 lat, byśmy mogli zostać zaliczeni do tych krajów europejskich, które odniosły sukces. W ciągu 50 lat dokonaliśmy cudu. Z Budapesztu – serdecznie pozdrawiam jego nadburmistrza – stworzyliśmy miasto, które przyjeżdżali podziwiać ludzie z całego świata. Przemysł przeżywał rozkwit, rolnictwo swój złoty wiek, ludność pochodzenia węgierskiego przekroczyła 50 proc. liczby mieszkańców ówczesnych wielonarodowych Węgier, pomimo wszelkich trudności byliśmy silni, wykształceni i zasobni. I kto wie, czego jeszcze moglibyśmy byli dokonać tu, w środku Europy, gdyby wiedeński dwór nie upadł na głowę i nie wciągnął nas w wojnę. W naszym tu wywodzie ważne jest tylko to, że w ciągu 50 lat udało się nam osiągnąć najlepszą formę. Jeśli przyrównamy do tego naszą obecną pozycję, trzeba stwierdzić, że takiej formy jeszcze nie osiągnęliśmy, gdyż nie dysponowaliśmy dotąd 50 latami, a tylko 26.

Dzisiejsze nasze położenie moglibyśmy też określić miarą rządów Horthyego. To zaś jest pole grząskie, podmokłe, bagniste i niebezpieczne, a takie lepiej omijać. Możemy jednak stwierdzić, że pomimo wojennej przegranej, pomimo znacznego okrojenia kraju i pomimo światowego kryzysu gospodarczego zdołaliśmy stanąć na nogi, a nasze drzewo, choć przepiłowane na pół,

wydało nowe pędy, wypracowaliśmy wybitne osiągnięcia na polu dyplomacji, wojskowości i gospodarki. Nasz produkt narodowy brutto mierzony na głowę przekroczył hiszpański, irlandzki, fiński czy portugalski, nie mówiąc o polskim, jugosłowiańskim czy rumuńskim. I choć wojna światowa przerwała ten okres i pogrzebała go, tyle możemy powiedzieć, że 21 lat pokoju okazało się za mało na spożytkowanie naszych talentów i mocy, do czego czuliśmy się zdolni na podstawie poprzedniego okresu.

W epoce komunizmu nie byliśmy ani wolni, ani niepodlegli, żyliśmy jak przygięci do ziemi, osiągnięte wtedy wyniki, do których dochodziliśmy siłą instynktu przetrwania, chęcią przeżycia, nie mogą stanowić wykładni dla dzisiejszych wolnych i suwerennych Węgier. Reżim komunistyczny może nam teraz pomóc w określeniu naszej obecnej pozycji tylko jednym nowym pytaniem. Chodzi tu o najważniejszą, śmiertelnie poważną zagadkę naszego życia: jeśli przez 45 lat idzie się wciąż w głąb lasu, to ile potrzeba lat, aby z tego lasu wyjść całkowicie?

Szanowne Panie, Szanowni Panowie!

Co się tyczy naszych 26 lat po roku 1990, musimy rozpocząć od zaskakującego faktu, że na początku lat 90, zaczęliśmy coraz bardziej odstawać od Europy Zachodniej, bardziej niż poprzednio, pomimo że Węgry stały się demokracją i przyjęły gospodarkę rynkową. Podobnie zadziwiającym faktem historii naszej gospodarki jest to, że wszystkie kraje naszego regionu, które w 2004 przystąpiły do Unii, wykorzystały gospodarcze możliwości tego akcesu, wszystkie, z wyjątkiem Węgier. Trudno zrozumieć, jak to możliwe, że my, Węgrzy byliśmy takimi ciamajdami. W czasie gdy inni się rozwijali, u nas panowały się zadłużenie, kredyty dewizowe, dziura budżetowa, inflacja, deficyt bilansu płatniczego, bezrobocie. W końcu nastąpił krach finansowy, obroża i smycz Międzynarodowego Funduszu Walutowego, niewolnictwo zadłużenia.

Jeśli Państwo pozwolą, nie będę znów przytaczał tego, o czym wiele razy mówiłem, w jaki sposób obywatelski i chrześcijański rząd w ciągu trzech lat wyprowadził kraj z tej beznadziejnej i pogmatwanej sytuacji, stosując nową politykę gospodarczą i nową politykę narodową. Wystarczy fakt, iż w ciągu trzech lat dokonaliśmy konsolidacji budżetu, ustabilizowaliśmy gospodarkę, uniknęliśmy bankructwa państwa, zahamowaliśmy inflację, ograniczyliśmy bezrobocie w stopniu

nie było jakim: z 11,5 proc. do 6,2 procenta. Odesłaliśmy do domu MFW, przez upływem terminu spłaciliśmy ich kredyt, a w tym roku spłacimy co do grosza kredyt z Unii Europejskiej. Summa summarum: w 2014 roku zamknęliśmy okres stabilizacji naszej gospodarki 3,7 procentowym wzrostem i otworzyliśmy nowy etap. Wzięliśmy rozpęd i zainicjowaliśmy etap konwergencji gospodarczej. Ogólnie rzecz biorąc, jesteśmy obecnie w fazie odzyskania szansy kolejnego historycznego wyrównania poziomu.

Szanowni Państwo!

Proszę jednak nie wierzyć, że gospodarcze „doganianie” innych to rzecz prosta, łatwa i powszechna. Przeciwnie! To rzadkość jak biały kruk. W minionym pięćdziesięcioleciu do grona najbardziej rozwiniętych udało się doszłusować mniej niż dziesięciu krajom. Mniej niż dziesięć krajów w ciągu minionego półwiecza! Cokolwiek stanie się dalej, już możemy powiedzieć, że udało nam się wytyczyć przed sobą nową trasę. W przeciągu pięciu lat zmniejszyliśmy podatek dochodowy od osób fizycznych z 35 proc. do 15. W ciągu pięciu lat pozostawiliśmy w rodzinnych budżetach 1.300 mld forintów. O 25 proc. zmniejszyliśmy koszty opłat komunalnych. Również w ciągu pięciu lat najniższa płaca na Węgrzech wzrosła półtorakrotnie. Dokonaliśmy tego razem, państwo i rynek, rząd i sektor biznesowy, pracodawcy i pracownicy, węgierskie firmy mikro, małe i średnie oraz krajowe filie globalnych korporacji. Dokonaliśmy tego razem i wspólnie możemy być z tego dumni. Węgierskie reformy są skuteczne. Tej wspólnej walki i współpracy potrzeba będzie w następnych latach, a nawet w następnych dwóch dekadach. Jeśli będzie praca, inwestycje, zaufanie i wsparcie, Węgry będą mogły się rozwijać po torze wznoszącym się.

Dlatego, Szanowni Państwo, wszelka polityka oparta na walce klas ma ograniczone pole widzenia i jest pozbawiona głupia. Na próżno idee rodem z Manifestu Komunistycznego, Kapitału Marxa czy z modnych, lewackich uniwersyteckich ław występują pod nowymi płaszczykami, trzeba je odpierać w sposób jak najbardziej zdecydowany i zjednoczonymi siłami zwolenników trzeźwego myślenia trzymać z daleka od władzy. Zamiast dziecinnych marzeń, romantyki walki klasowej, przeciwstawiania sobie i wzajemnego podżegania pracodawców i pracowników, małych przedsiębiorstw i korporacyjnych potęg, potrzebujemy jednoczenia

interesów, współpracy, synchronizacji. Do tego zaś trzeba dużej, silnej, stabilnej partii ludowej oraz takiego samego rządu, służącego interesom obywateli.

Gdzież więc się dziś znajdujemy? Wiele już się wydarzyło, ale wiele musi się jeszcze wydarzyć. Mamy już za sobą większość reform gospodarczych, administracyjnych, szkolnictwa, służby zdrowia, kultury i ustroju agrarnego. Obroniliśmy emerytury i emerytów, wspieraliśmy rodziny ponad nasze siły. Przywróciliśmy porządek publiczny, a policji poczucie własnej godności, zbudowaliśmy też system antyterrorystyczny i zarządzania w obliczu katastrofy. Ocaliliśmy nasze szkoły i szpitale, ponieważ samorządy utrzymujące szkoły i szpitale w roku 2010 zbankrutowały. To prosty ekonomiczny fakt, by go pojąć nie trzeba być fizykiem jądrowym: jeśli bankrutuje ten, kto utrzymuje daną instytucję, bankrutuje również ta instytucja. Ten fakt pozostaje faktem również wtedy, gdy dzieje się tak bez winy nauczycieli czy lekarzy. Rząd zdjął z bark upadłych samorządów długi o łącznej wartości 1.264 mld forintów. Ci, którzy dziś ogłaszają koniec świata z powodu kilku miliardowego zadłużenia KLIK-u - centralnego urzędu szkolnictwa, nie muszą się martwić. Skoro daliśmy sobie radę z kredytem z MFW, skoro poradziłyśmy sobie z 1.200 mld długu samorządów, to dług tego urzędu też nas nie przygniecie. W sferze służby zdrowia na podstawową opiekę zapewniliśmy o 40 proc. więcej środków w porównaniu z rokiem 2010. O połowę skróciliśmy listy oczekujących. Na rozwój szpitali przeznaczaliśmy ponad 500 mld forintów. Trudno znaleźć podobne osiągnięcia w naszej historii. Szpitale na prowincji w znaczącej większości przyjmują chorych w warunkach odpowiadających XXI. wiekowi. Problem mamy w Budapeszcie, musimy zbudować nowy, duży szpital stołeczny.

Ogólnie rzecz biorąc mogę powiedzieć, że jesteśmy wdzięczni nauczycielom i pracownikom służby zdrowia i doceniamy ich pracę. Mają oni rację, że choć wzrost płac jest sukcesywny i znaczący, lecz wciąż niesatysfakcjonujący. Marna pociecha w tym, że dziś na Węgrzech podobnie jest w prawie każdym zawodzie. Węgry mogą dziś udźwignąć z czystym sumieniem i trzeźwym umysłem tylko tyle, żeby każdego roku każdy mógł postąpić o krok do przodu. Ramy długości i tempa tych kroków określają każdorazowe wyniki gospodarki. Również ja cenię jasne stawianie sprawy. Popieram tylko taki wzrost płacy - czy to w sektorze budżetowym czy prywatnym - ale wówczas usilnie go wspieram, który ma pokrycie w gospodarce, za którym stoi wzrost ekonomiczny.

I w ten sposób, Szanowni Państwo, dotarliśmy do najważniejszych pytań nadchodzących lat. Obecne tempo wzrostu gospodarczego nie jest zadowalające, a jego trwałość nie jest zabezpieczona. Jest tak dlatego, ponieważ węgierska gospodarka wciąż nie jest wystarczająco konkurencyjna. Weźmy za przykład węgierskie rolnictwo, z którego tak jesteśmy dumni, a które w ostatnich latach biło historyczne rekordy. Nawet dziś nasza wydajność z hektara stanowi 48 proc. unijnej. Moglibyśmy przytoczyć wiele podobnych przykładów, również z dziedziny przemysłu. Dlatego jeszcze wiele musi się zmienić w kwestii konkurencyjności naszej gospodarki. Obniżanie podatków, redukcja biurokracji, bardziej życiowe szkolnictwo zawodowe, szybsze orzecznictwo sądowe, informatyzacja, poprawa organizacji, innowacyjność technologiczna, wyższa kultura przedsiębiorczości i biznesu. Czekają nas jeszcze ogromy pracy w tej kadencji.

Szanowni Państwo! Szanowny Panie Prezydencie!

Gdy w polityce spotykamy się z pytaniem, gdzie się obecnie znajdujemy, każdy automatycznie myśli o czasie, a nie o przestrzeni. Wydaje się to naturalne, gdyż dany kraj nie może poderwać się z miejsca i stanąć gdzie indziej. W sposób konieczny ma on swoje własne miejsce – jest tam, gdzie jest, i tam też trwa. Polityka jednak, szczególnie ta międzynarodowa, to rzecz skomplikowana i przebiegła. Zdarza się, że jakiś kraj zostaje przesunięty, powiedzmy o 200 kilometrów, jak to przydarzyło się Polakom, choć to w Europie w czasach pokoju nie jest czymś typowym. Znamy też oczywiście stary kawał, mówiący, że Węgry są jedynym krajem na świecie, który graniczy sam ze sobą, na dodatek na długości wszystkich swych granic.

W światowej polityce jednak cały kraj może zmienić swe położenie bez przesunięcia jego granic nawet o krok. Nas na przykład najechała armia sowiecka i w mgnieniu oka zostaliśmy przesunięci z Zachodu na Wschód. Później armia ta wyszła, a my ponownie znaleźliśmy się na Zachodzie.

Ma więc swoje uzasadnienie pytanie: gdzie znajdują się dziś Węgry w przestrzeni światowej polityki? Wygląda na to, że pomimo upływu wieków, istnieją rzeczy trwałe. Widzimy stałe

gwiazdy, w stosunku do których możemy ustalać pozycję naszego okrętu. Na zachodzie to świat ludów germańskich, ziemia żelaznych kanclerzy. Na wschodzie to imperia wojowniczych ludów słowiańskich, które liczebnie stokrotnie nas przerastają. Na południu potężne tłumy półksiężycy, niemilkący furkot gniazda szerszeni. To są dziś nasze trzy punkty orientacyjne. Berlin, Moskwa, Sztambuł, a dokładniej Ankara. Mamy tendencję do zapomnienia, że od naszej południowej granicy do Bośni w linii prostej jest niewiele ponad 70 kilometrów.

Szanowne Panie, Szanowni Panowie!

Węgrzy tylko wtedy mogą być suwerenni, mogą cieszyć się wolnością, mogą podążać torem wyznaczonym przez ich zdolności i pracowitość tylko wtedy, gdy żadne z mocarstw nie jest ich wrogiem, a dokładniej mówiąc, gdy w interesie wszystkich trzech jednocześnie leży niepodległość i rozwój gospodarczy Węgier. Nie oznacza to, że zawsze i we wszystkim musimy się z nimi zgadzać lub że musimy być sprzymierzeni ze wszystkimi naraz. Tak mogą myśleć tylko dziecinnie naiwni. Tak zwykli myśleć politycy pragnący nieustannych profitów, ciepłych posadek – ale po nich trudno byłoby oczekiwać polityki krajowej i zagranicznej służącej racji stanu i narodowym interesom.

Rzecz jasna, i tu bywały takie czasy, gdy wiały wichry wojny, a wtedy uproszczeniu ulega polityka, „kto z kim jest w sojuszu”. Gdy takie okrutne okresy następowały, zawsze przegrywaliśmy; tak nas to osłabiało, że już chciano nam dawać „ostatnie namaszczenie”. To były chore czasy, pełne majaków i halucynacji. Śnił się wtedy hieny, chmary sępów nad krajem, wypędzeni, uchodźcy, setki tysięcy w obozach śmierci. Dlatego żelazną zasadą węgierskiej polityki zagranicznej jest to, że dla nas, Węgrów, interesem narodowym jest pokój. Może to zabrzmieć sarkastycznie lub ironicznie, ale taka jest prawda – nasze miejsce jest w obozie pokoju.

Z tej samej logiki wynika, że nie możemy dać się wmanewrować w jakieś międzynarodowe akcje skierowane czy to przeciw Niemcom, czy Rosjanom, czy Turkom. W węgierskim interesie nie leży udział w akcjach, które cechuje brak szacunku, chęć obrażania lub bezpardonowe uderzenie w poczucie własnej godności danego narodu. Czy to z powodu nieszczęsnego udziału w II wojnie światowej, czy dlatego, że nie naśladuje zachodnich wzorców demokracji, czy też dlatego, że

zamiast odrzuconą akcesją do Unii Europejskiej zajął się budowaniem pozycji regionalnego lidera w obszarze zdominowanym przez cywilizację islamską, ze wszystkimi tego konsekwencjami.

Szanowni Państwo!

Nie można zmienić przeszłości Niemiec. Moskwa, nawet gdyby chciała, nie potrafi w centrum swej polityki umieścić wolności, gdyż w jej głowie i historii nad wszystkim góruje nakaz utrzymania spójności potężnych obszarów. I czemu chcielibyśmy Turcję mierzyć naszą polityczną miarką, zamiast uznać, że pomimo swych islamskich fundamentów, bardzo dużo energii wkłada w europeizację?

Nie, Drodzy Przyjaciele, polityka zarozumiała, nadęta, napuszona, oparta na poczuciu moralnej wyższości, czasem bardzo kusząca, często tak popularna po zachodniej stronie naszego kontynentu, a czasem i po drugiej stronie oceanu, to nie jest nasza polityka, to nie nasza droga i nie nasz interes. Pokój, współpraca, handel, obopólne inwestycje, sprzyjająca nam regionalna równowaga, obrona naszych interesów – to są podstawowe zasady węgierskiej narodowej polityki zagranicznej.

Wiem również i ja, wiem, że to trudniejsze i bardziej złożone – bo łatwiej byłoby nie rzucać się w oczy wielkiemu zwierzęciu, lecz raczej przytulić się do jego ciepłej sierści – ale taka służalczość nie jest godna naszej 1100-letniej historii w Basenie Karpat.

Szanowni Panie i Panowie!

A teraz chciałbym wyjaśnić, dlaczego to wszystko mówię. Krótko: dlatego, że to wszystko jest teraz zagrożone. Zagrożona jest wypracowana w pocie czoła finansowa stabilizacja. Zagrożone jest niedawno rozpoczęty gospodarczy rozwój. Zagrożona jest starannie wypracowana narodowa polityka zagraniczna. Zagrożony jest przywrócony porządek publiczny i wolne od terroru bezpieczeństwo społeczeństwa. Zagrożona jest też nasza narodowa kultura, która powoli na nowo zaczęła odnajdywać sama siebie. Więcej, zagrożone jest nie tylko to, co już jest, ale i to, co

mogłoby być, perspektywa, możliwość obiecującej przyszłości, rodząca się i poszerzająca możliwość osiągnięcia przez nasze dzieci europejskiego poziomu życia.

To zagrożenie nazywa się wędrówką ludów. Wierzę, że i za sto lat istnieć będzie europejskie i węgierskie nauczanie historii. Nie ryzykuję zbyt wiele, jeśli powiem, że w podręcznikach historii Europy rok 2015 będzie dla ówczesnych uczniów tematem obowiązkowym do wyuczenia jako początek nowej epoki.

Rok 2015 zakończył okres, gdy obronność i bezpieczeństwo Europy mogliśmy uważać za pewnik, gdyż sądziliśmy, że one zależą wyłącznie od niej samej. My już rok temu – przy takiej samej okazji, jak teraz – ostrzegaliśmy, iż rozpoczęła się nowa wędrówka ludów. Wylano wtedy na nasze głowy kubły pomyj, spotkała nas zażarta krytyka, wyśmiewanie, obelgi, zarówno od przyjaciół, sojuszników, jak i od rywali. A rzeczywistość była jedna – nowa wędrówka ludów stała się historycznym faktem. Dziś już nikt o zdrowych zmysłach nie poddaje tego w wątpliwość. Dlaczego akurat my, dokładniej, dlaczego akurat mieszkańcy Europy Środkowej dostrzegliśmy to jako pierwsi? Różne mogą być tego przyczyny, nawet kilka naraz. Może wichry historii i fale jej tąpnięć, może pełne potu zmagania lat okresu po zmianie ustroju. Może doświadczenie, mówiące, że trzeba być czujnym, bo zawsze może się coś przydarzyć – jak tylekroć się zdarzało – coś, co niespodziewanie i nieodwracalnie przekreśli nasze rachuby.

My, ludzie Europy Środkowej, nawet gdy posuwamy się do przodu, robimy to przykładając co i rusz ucho do szyn, wsłuchując się, czy nie ma jakichś podejrzanych dźwięków, które dużo przed czasem pozwolą przewidzieć niebezpieczeństwo, stukot nadciągającego poza rozkładem jazdy pociągu pełnego nieszczęść. Na Zachodzie ostatnie pięćdziesiąt, sześćdziesiąt lat było inne. Zupełnie inne. Udany rozwój, dająca się zaplanować przyszłość, dobrze wydeptane ścieżki, stabilne szyny, godne zaufania rozkłady jazdy. Nam nieraz wydawało się to światem marzeń. Takim, w którym mieszały się ideologia, pragnienia i życie rzeczywiste. Świat dobrobytu, bezpieczeństwa, uprzejmości. Świat, w którym rozplywa się jednoznaczność, a granice zanikają. Rozmywają się kontury pomiędzy jednym narodem a drugim, pomiędzy kulturami, pomiędzy mężczyzną a kobietą, dobrem a złem, sacrum a profanum, wolnością a odpowiedzialnością, dobrą intencją a działaniem. Zlewa się „to, co jest” z tym, co „być powinno”. Jakby poczucie

rzeczywistości uległo wyszczerbieniu, stępieniu.

W przeciwieństwie do tego, nasze poczucie rzeczywistości jest ostre i czujne jak trzeźwy umysł lub zimny, orzeźwiający wiatr. Nas nauczono tego, że rzeczywistość to coś, co nie znika nawet wtedy, gdy przestajemy w nią wierzyć. Dlatego dla nas punktem wyjściowym zawsze są realia, których nigdy nie mylimy z własnymi marzeniami.

Szanowni Państwo!

Druga i trzecia dekada wieku XXI będą dekadami wędrówki ludów. Zaczyna się epoka, na którą nie byliśmy przygotowani. Sądziliśmy, że coś takiego mogło mieć miejsce tylko w dalekiej przeszłości lub w podręcznikach historii. A przecież w najbliższych latach do Europy może wyruszyć tłum większy niż wszystkie dotychczas, morze ludzi, którego liczba przewyższa ludność niejednego europejskiego kraju. Nadszedł czas, by zmierzyć się z rzeczywistością. Najwyższa pora, by rozróżnić to, co jest, od tego, czego byśmy sobie życzyli. Najwyższy czas, by porzucić iluzje, nawet jeśli są nimi górnolotne teorie, ideologie czy zwodnicze sny.

Rzeczywistością jest to, że w licznych krajach Europy rośnie głęboko już ugruntowany, trwały świat społeczności równoległych. Rzeczywistością jest to, że ten fakt – zgodnie z prawem natury – spowoduje kurczenie się naszego świata, a z nim i nas, naszych dzieci i wnuków. Rzeczywistością jest to, że przybyszom ani w głowie przejmować nasz sposób życia, gdyż swój własny uważają za bardziej wartościowy, silniejszy, bardziej witalny. Dlaczego mieliby z niego rezygnować? Rzeczywistością jest to, przybysze nie są zdolni uzupełnić braków w zasobach siły roboczej zachodnioeuropejskich fabryk.

Fakty pokazują, że pośród ludzi urodzonych poza Europą, poprzez kolejne pokolenia bezrobocie jest znacznie, nawet kilkakrotnie większe. Rzeczywistością jest to, że narody Europy nie były zdolne zintegrować nawet tych mas, które z Azji czy Afryki przybywały do nich sukcesywnie, poprzez minione dziesięciolecia. Jak mogłoby się to udać teraz, tak szybko i z tak wielką liczbą? Rzeczywistością jest to, że przyjmując masy ludzi ze świata islamu, nie jesteśmy w stanie rozwiązać niewątpliwych problemów wymierania i starzenia się populacji Europy, bez narażania

się na utratę naszego sposobu życia, bezpieczeństwa i nas samych.

Rzeczywistością jest to, że jeśli prędko nie otrzeźwiejemy rozmaite rodzaje napięć staną się niemożliwe do opanowania: napięcia pomiędzy starzejącą się Europą a młodym światem islamskim; napięcia pomiędzy zsekularyzowaną, pozbawioną wiary Europą a coraz bardziej oddanym swej wierze światem islamu; napięcia pomiędzy niezdolną dać zatrudnienie swojej dobrze wykształconej młodzieży Europą a niewykształconymi masami ze świata islamskiego. Napięcia te występują nie gdzieś daleko, w bezpiecznej dla nas odległości, ale tu, w sercu Europy.

Szanowni Panie i Panowie!

Jeszcze nie jest za późno, by elity Europy pojęły lekcję generała de Gaulle'a. Cytuję: „Polityka musi bazować na rzeczywistości, w polityce sztuką jest właśnie to, iż na rzecz danej idei możemy pracować tylko w ramach rzeczywistości”. Koniec cytatu. Rzeczywistość zaś to historia, kultura, demografia i geografia. Ufam, że nie jest jeszcze za późno, by zrozumieć, iż realia nie stanowią ograniczenia dla wolności. Lekcja, którą obecnie odrabiamy, mówi tak: nie może istnieć wolność, która odrzucałaby rzeczywistość. To mogłoby być najwyżej jakieś polityczne delirium, polityczny majak narkotyczny.

Daremnie chcielibyśmy tworzyć świat z najszlachetniejszych nawet ideowych pragnień, jeśli nie budujemy na gruncie realiów. Taki świat pozostanie tylko w sferze myślenia życzeniowego. Po odrzuceniu rzeczywistości nie jest możliwe ani osobiste, ani wspólnotowe szczęście, tylko porażki, frustracje, zgorzknienie, w końcu cynizm i samozagłada.

Może dlatego po ulicach Brukseli błąka się tak wielu polityków pełnych wzniosłych myśli, godnych lepszego losu, a nieszczęśliwych. Czy nam się to podoba, czy nie, wędrówki ludów nigdy nie mają charakteru pokojowego. Gdy wielkie masy ludzi szukają dla siebie nowego domu, nieuchronnie prowadzi to do konfliktów, gdyż chcą zająć teren, który już ktoś zamieszkuje, gdzie ludzie są u siebie i chcą bronić swojego domu, swojej kultury, swojego sposobu życia.

Szanowni Państwo!

Historia wyważyła nam drzwi, granice Europy poddała oblężeniu, zagroziła europejskiej kulturze i bezpieczeństwu Europejczyków. Stan zagrożenia nie sprzyja wprowadzie myśleniu zniuansowanemu, a jeszcze mniej wysublimowanym uczuciom, ale nie możemy się za to gniewać na imigrantów. Oni sami w większości są ofiarami. Ofiarami rozpadających się rządów w ich ojczyznach, ofiarami międzynarodowych decyzji, ofiarami przemytu ludzi. Oni robią to, co uważają za dobre dla siebie. Problem w tym, że my, Europejczycy, nie robimy tego, co byłoby dobre dla nas.

Nie znajduję lepszego słowa na określenie tego, co dzieje się w Brukseli, jak słowo absurd. To tak, jakby kapitan statku zagrożonego zderzeniem zamiast robić wszystko, by do tego nie doszło, zajął się wyznaczaniem szalup dla niepalących. To tak, jakby załoga zamiast tamować dziurę, klóciła się na temat tego, ile wody ma się wlać do poszczególnych kabin.

Moi Drodzy Przyjaciele!

Jestem przekonany, że wędrówkę ludów można zatrzymać. Wspólnota Europy liczy sobie pół miliarda, 500 milionów ludzi. Jest nas więcej, niż Rosjan i Amerykanów razem wziętych. Warunki Europy, jej technologie, strategie i rozwój gospodarczy, pozwalają na to, by się obroniła. Dlatego wielkim problemem jest to, że Bruksela nie potrafi zorganizować obrony Europy. Jeszcze większy problem polega na tym, że Bruksela nie ma nawet takiej intencji.

My w Budapeszcie, Warszawie, Pradze i Bratysławie nie możemy pojąć, jak mogło komukolwiek przyjść do głowy wpuszczanie ludzi z innych kontynentów i innych kultur bez żadnej kontroli. Jak mogło dojść do obumarcia w naszej cywilizacji tego naturalnego i podstawowego instynktu, który nakazuje bronić siebie, swej rodziny, domu, bronić swej ziemi.

A przecież, Szanowni Państwo, mamy czego bronić. Europa to wspólnota, koegzystencja chrześcijańskich, wolnych i niepodległych narodów. Europa to wspólne korzenie, wspólne wartości, wspólna historia, wspólna zależność geograficzna i geopolityczna. To

równouprawnienie mężczyzny i kobiety, to wolność i odpowiedzialność, sprawiedliwa konkurencja i solidarność, duma i pokora, sprawiedliwość i miłosierdzie. To jesteśmy my! To jest Europa!

Europa to Hellada a nie Persja. To Rzym a nie Kartagina. To chrześcijaństwo a nie kalifat. Nie ma w tym wyliczeniu żadnego klasyfikowania, lecz tylko zaznaczenie różnic. Stwierdzenie, że istnieje samodzielna europejska cywilizacja, nie oznacza tego, iż jest ona lepsza lub gorsza, lecz tylko tyle: to jesteśmy my, a to jesteście wy.

Jeszcze kilka lat temu wydawało się, że powyższe fakty są dla wszystkich oczywiste. Jeszcze kilka lat temu wydawało się, że w tej kwestii panuje wśród nas jednomyślność. Jeszcze kilka lat temu wydawało się, że panuje porządek – taki, który i nam się podoba – porządek w głowach i sercach europejskich przywódców, którzy jeden po drugim oświadczyli, że idea multikulturalizmu jest martwa. Kilka lat temu mogliśmy jeszcze wierzyć, że oni pojęli, iż ich kraje nie są w stanie zasymilować masowo napływających imigrantów. W roku 2015 wszystko jednak się zmieniło, jednomyślność rozpadła się w drobny pył, z prędkością grawitacji wpadliśmy z powrotem w intelektualny chaos, z którego chcieliśmy się wyrwać.

Pewnego ranka, bez żadnych zapowiedzi, zbudziły nas głosy „Willkommenskultur”. Od europejskich liderów słyszymy, że musimy pomóc. Z najwyższych pozycji zachęcają nas, byśmy byli solidarni i pomagali.

Drodzy moi Przyjaciele!

To naturalne. Nie mamy kamiennych serc. Ale nie mamy też kamiennych mózgów. Pamiętamy o najważniejszej zasadzie udzielania pomocy: jeśli pomagamy tutaj, to tutaj będą przychodzić; jeśli pomagamy tam, to tam pozostaną. Zamiast to zrozumieć, z Brukseli zaczęto wysyłać zachęty w stronę ludzi żyjących w najbiedniejszych i najbardziej zaniedbanych regionach, by przybyli do Europy i zamienili własne życie na jakieś inne. Połowa świata, a co najmniej połowa Europy zastanawia się wieczorem, przy kuchennym stole: co się stało, co się za tym kryje? Niedługo każda europejska rodzina będzie miała swoje własne wytłumaczenie. Ja też nie chcę pozostawać

w tyle.

Widzę to tak, że w Brukseli i w niektórych europejskich stolicach ludzie przynależący do elit politycznych i intelektualnych to kosmopolici – w odróżnieniu od większości społeczeństw, które mają uczucia narodowe. Jestem przekonany, że liderzy polityczni wiedzą o tym. Ale ponieważ nie ma szansy, by porozumieli się z własnymi narodami, nawet nie wdają się z nimi w rozmowę.

U nas mówiło się tak: mogą, mają śmiałość i robią to. To zaś oznacza, że prawdziwy problem nie znajduje się gdzieś poza Europą, ale w niej samej. Przyszłości Europy w pierwszym rzędzie zagrażają nie ci, którzy chcą się tu dostać, lecz ci polityczni, gospodarczy i intelektualni liderzy, którzy próbują ją przetworzyć wbrew woli Europejczyków. Tak powstała najdziwaczniejsza koalicja w dziejach świata: koalicja przemytników ludzi, aktywistów obrony praw człowieka i głównych europejskich polityków. Powstała, by w sposób zaprogramowany sprowadzić tu miliony imigrantów.

Szanowne Panie, Szanowni Panowie!

Do dzisiejszego dnia wciąż przyjmujemy bez kontroli i selekcji setki tysięcy ludzi przychodzących z krajów, z którymi jesteśmy w stanie wojny, a kraje członkowskie Unii, między innymi, prowadzą na ich terenach akcje wojskowe. Nie mieliśmy szansy na przesianie i wyłapanie tych, którzy stanowią zagrożenie. Dziś nikt nie wie, kto jest terrorystą, kto przestępcą, kto imigrantem ekonomicznym, a kto prawdziwym uchodźcą ratującym swe życie. Trudno na to znaleźć inne słowo niż szaleństwo.

Szanowni Państwo! Szanowny Panie Prezydencie!

Drodzy słuchacze, Obywatele Węgier!

Wiosenny wiatr wzburza wody [słowa piosenki ludowej], ale wygląda na to, że wzmaga też potop imigrantów. Przed nami trudne, męczące, nerwowe tygodnie i miesiące. Na naszych południowych granicach napięcie rośnie coraz bardziej. Brukselska inercja powoduje coraz

większy chaos. Kraje bałkańskie dostały się w kleszcze. Grecy od południa pchają tysięczne tłumy, z północy kuszą je niemieckie głosy syren. Musimy być przygotowani na wszelkie ewentualności. Posyłamy krajom bałkańskim ludzi, straż graniczną, środki techniczne, maszyny, gdyż one rzeczywiście strzegą granic Europy. A dopóki one wytrzymują, i nam łatwiej jest bronić naszych granic. A wiemy to już od czasów Hunyadiego [pogromca Turków w XV wieku.] Ufamy w ich sukces, ale to zbyt mało. Musimy umocnić własne linie obrony. To pochłania wiele pieniędzy, dotąd wydaliśmy 85 miliardów forintów i możemy liczyć tylko na nasze własne środki. Wysłałem na granice nowe jednostki wojskowe, zarządziłem stan gotowości w południowych komitatach Csongrád oraz Bács-Kiskun, nakazałem ministrom obrony i spraw wewnętrznych, by przygotowali budowę linii obronnych wzdłuż granicy z Rumunią. Jak dotąd policjanci i żołnierze pracowali doskonale. Dziękujemy im za to! Również teraz zobowiązali się, że zrobią wszystko, co w ich mocy, co tylko po ludzku możliwe. Teraz jednak może się to okazać za mało. Kraj oczekuje od nas skuteczności, stabilnie bronionej granicy. Dowódcy wojska, policji i jednostek antyterrorystycznych muszą podołać temu zadaniu. Jeśli zajdzie potrzeba, będziemy się bronić na całej długości linii od Słowenii po Ukrainę.

Nauczymy Brukselę, przemytników ludzi i imigrantów, że Węgry to kraj suwerenny, na jego terytorium można się dostać tylko pod warunkiem poszanowania naszych praw i posłuszeństwa służbom mundurowym. Obrona naszych południowych granic to jeszcze nie wszystko. Musimy wytrwać na jeszcze innym bitewnym polu. Na szczęście to pole walki nie żołnierzy, lecz dyplomatów.

Moi Drodzy Przyjaciele!

Musimy powstrzymać Brukselę. Wbili tam sobie do głowy, że rozdziela pomiędzy nas przywiezionych do Europy imigrantów. Obowiązkowo, na mocy prawa. Określają to mianem obowiązkowych kwot przyjęcia imigrantów. Taką nieszczęsną, niesprawiedliwą, nieracjonalną i bezprawną decyzję podjęto już w stosunku do 120 tys. imigrantów. Wbrew decyzji Rady Europejskiej, w której decydują przywódcy państw członkowskich, z pogardą dla reprezentowanej przez nich suwerenności tych państw, oszukując i omijając prawo przegłosowano to w Parlamencie Europejskim. Tę decyzję zaskarżyliśmy i będziemy walczyć o

jej unieważnienie w Trybunale Europejskim. Apetyt rośnie w miarę jedzenia. Wygląda na to, że nie tylko na Węgrzech, ale też w Brukseli. Dlatego teraz chcą stworzyć stały i sukcesywny system rozdzielnicy, obowiązkowy dla każdego imigranta i każdego kraju członkowskiego.

Drodzy moi Przyjaciele!

Unia – wyraźnie to widać – składa się z dwóch obozów: unionistów, czyli zwolenników federalizacji oraz suwerenistów, czyli zwolenników suwerenności narodów. Unioniści chcą Stanów Zjednoczonych Europy i obowiązkowych kwot osiedleńczych. Suwereniści pragną Europy wolnych, suwerennych narodów i nawet słyszeć nie chcą o żadnych kwotach. I tak obowiązkowe kwoty imigrantów stały się esencją i symbolem naszych czasów. One są ważne same w sobie, ale streszczają też wszystko to, czego się obawiamy, czego nie chcemy i co może rozbić przymierze narodów Europy.

Nie możemy pozwolić, by Bruksela stawiała się ponad prawem. Nie możemy się zgodzić, by konsekwencje swej szalonej polityki cedowała na tych, którzy zachowali wszelkie porozumienia i wszelkie prawa, jak to uczyniliśmy my. Nie możemy pozwolić, by zmuszano nas lub kogokolwiek do importowania gorzkich owoców ich błędnej polityki imigracyjnej.

Nie chcemy i nie będziemy importować na Węgry przestępczości, terroryzmu, homofobii i antysemityzmu. Na Węgrzech nie będzie dzielnic wyjętych spod prawa, zamieszek, imigranckich buntów, podpalania obozów dla uchodźców, a bandy nie będą polować na nasze żony i córki. Na Węgrzech zdusimy nawet próby takich zachowań i konsekwentnie będziemy stosować retorsje.

Szanowni Państwo!

Nie zrezygnujemy z naszego prawa do decydowania o tym, z kim chcemy razem żyć, a z kim nie. Z tego powodu musimy odeprzeć i odeprzemy tych, którzy jak domokrażcy roznoszą po Europie pomysły kwot. Bez ryzyka nie ma brawury – głosi peszteński żart piłkarski, a my rzeczywiście musimy zebrać się na odwagę. Musimy być odważni, gdyż dla większej chwały europejskiej demokracji jesteśmy zmuszeni stawić czoła cenzurze, szantażom i groźbom. Z belgijskich

księgarń wycofywane są książki autorstwa węgierskiego ministra sprawiedliwości. Prasa niektórych krajów członkowskich otwarcie rozpowszechnia o nas kłamstwa. Krytyka Węgier jest szorstka, brutalna i agresywna. Na dodatek straszą nas finansowymi karami twierdząc, że nas wspierają, my zaś jesteśmy niewdzięczni. Sposób ich myślenia podobny jest do prostego plebana, który został poproszony o pomoc w zażegnaniu konfliktu wokół różnic majątkowych. W porządku – powiedział – prace podzielimy w następujący sposób: wy namówicie bogatych, żeby byli hojni a ja namówię ubogich, by przyjmowali darowizny. Tak oni rozumują.

Rzeczywistość jednak jest taka, że nic nie jesteśmy sobie wzajemnie winni, ani feniga. Węgry, osłabione po 45 latach komunizmu, wykrwawione, niezdolne do konkurencyjności, pozbawione kapitału, otworzyły na oścież swe bramy zachodnim firmom. To wszystkim przyniosło profity. Zachodnie firmy wywiozły stąd tyle samo, ile przysłała nam Unia. Jesteśmy kwita, żadna ze stron nie ma podstaw do pretensji.

Szanowne Panie, Szanowni Panowie!

Na koniec o tym, jak powstrzymać brukselskie manewry wprowadzenia kwot osiedleńczych. Moja rada jest taka: oprzyjmy się na praźródle europejskiej demokracji – na woli ludu. Jeśli prawdą jest, że ludzie nie chcą, wręcz sprzeciwiają się lunatycznej brukselskiej polityce imigracyjnej, oddajmy im głos, umożliwmy im wyrażenie opinii.

W końcu Europa opiera się na fundamencie demokracji. To oznacza, że nie możemy podejmować decyzji o bardzo poważnych skutkach dotyczących życia ludzi ponad ich głowami, wbrew ich woli. Dlatego na Węgrzech rozpisujemy referendum. I nie chodzi tu o kwotę, co do której decyzja już zapadła, a którą Węgry zaskarżyły do Trybunału. To już przeszłość. Referendum będzie dotyczyło przyszłości. Wzywamy obywateli Węgier do walki przeciw obowiązkowym kwotom osiedleńczym nowego europejskiego systemu imigracyjnego, który ma trafić na porządek dzienny w marcu. Wierzmy, że Bruksela – nawet w obecnym stanie – nie odważy się zdradzić własnych ideałów. Nie może przeciwstawić się narodom Europy. Unia Europejska nie może być Związkiem Sowieckim w wersji 2.0.

My, Węgrzy, nie wyprzemy się Europy, mimo wszelkich jej słabości, rozcieńczenia i chwiejności. Nie odwrócimy się od niej w sytuacji, gdy zatraciła poczucie przestrzeni. Nie pozostawimy jej samej sobie w jej panicznych zawrotach agorafobii. Jesteśmy obywatelami tej samej historycznej i duchowej Europy, co Karol Wielki, Leonardo, Beethoven, św. król László – Władysław I, Imre Madách czy Béla Bartók.

Nasza Europa została wzniesiona na chrześcijańskich fundamentach i dumą napawa nas fakt, iż dosięgła szczytów duchowości i ludzkiej wolności. W Europie ludzie mogą mieć bardzo różne poglądy. Jedni wierzą w ideały wolności, równości i braterstwa, inni wierzą w Boga, Ojczyznę i rodzinę oraz w przychodzące królestwo wiary, nadziei i miłości. Nikt jednak z nas – niezależnie od tego, do której grupy należy – nie może pragnąć tego, by nasza Europa padała na kolana przed celowo ku nam kierowanym, jak potop zbliżającym się masom ludzi, którzy siłą chcą nas zmusić do przyjęcia innej moralności i innych zwyczajów.

Nie wierzymy, żeby Europa mogła się skazać na taki los. Nie wierzymy, że wybierze odrzucenie naszych tysiącletnich wartości. Nie wierzymy w to, ale wiemy i zapowiadamy, że Węgry nie zrobią na tej drodze nawet najmniejszego kroku, Panie Prezydencie!

Naprzód, Europo, naprzód, Węgrzy!